

szyl parę razy ustami, nim wy dobył z siebie jeden wyraz:

— Sieci!...

Nie pytano o nic. Sawgard poszedł, płacząc, do spichrza po niewody. Ragis wziął Marka za ramię.

— Wypij, biedaku, wódki, bo się tu sam rozechorujesz. Włóż surdut, ogrzej się. Bóg wziął, wola jego!

Młody człowiek wyrwał się gwałtownie i wyszedł, rzucając kalece okropne spojrzenie; zacisnął zęby, aż mu zgrzytnęły, ale nie powiedział.

Służba wzięła sieć olbrzymią i wróciła do czółen, on sam siadł w najmniejsze i przodował w tym smutnym połowie.

Zajęto pierwszą ton. Sieć cicho spadła na dno rzeki i ogarnęła ją od brzegu do brzegu. Ciągniono ją z łódek powoli. Sam w swem czółenku Marek płynął w ślad, jak za konduktorem pogrzebowym, i patrzył w wodę uparcie suchą, rozszerzoną żrenicą. On jeden z tych wszystkich ludzi nie płakał i nie desperował.

Wy dobyto sieć i zbierano ją na brzeg powoli, tamując oddech.

Pełna była ryb, ale Irenki nie było. Zarzucono raz drugi.

Dzień się robił na niebie i ziemi, rozbijając tunany mgły.

Rzeka pokryła się setką czółen: przyszli chłopci, dworscy z folwarków, na brzegach zbierał się tłum ciekawych, powietrze napęliło się płaczem kobiet, wołaniem wioślarzy, wieść smutna piorunem szła po okolicy.

Wśród tego mnóstwa ludu, wśród tych łkań i krzyków, wioślarz samotny na drobnej łódce stał nieporuszony, i niemy, znieczulony na drewno.

Tylko, ilekroć dobywano sieć, rysy kurczyły mu się spazmatycznie i drganie przebiegało członki, a wszyscy stawali i cisza głęboka ogarniała brzegi rzeki. Ale oprócz ryb niczego nie wyławiał niewód.

Oo południu stanęli za jurgiskimi młynami; stracono nadzieję odnalezienia zwłok, zatrzymano się...

Tak kiedyś szukano daremnie ciała Olechny Derpalis. Lupu swego nie zwykła oddawać Dubissa.

Marek opuścił wiosło i wpadłymi oczyma spojrzął w niebo sine, gęste od chmur; szukał tam wysoko ratunku dla rozdartej duszy.

Ludzie przeziębili, głodni, opuścili ręce. W tej chwili z tłumy głos się podniósł i ktoś się przedarł aż do brzegu:

— Marku!

Olbrzym spojrział machinalnie. Nad wodą stał ksiądz Michał Nerpalis, za nim Ragis i panna Aneta.

— Chodź do mnie, dziecko! — powtórzył proboszcz — chodź, czekam!

Po chwili wahania młody człowiek, przywykły słuchać tego głosu, przybił do brzegu i wysiadł.

Ledwie się trzymał na nogach; wsparł się na wiosło.

— Pohamuj żalność, miej litość nad sobą, nie masz prawa się gubić! — zaczął ksiądz serdecznie. — Jeśli Bóg ją wziął, na moc jego nie poradź. Ludzie z sił opadli, niech spoczną. A ty chodź ze mną, rozkazuję ci, chodź!

Wziął go za rękę i pociągnął, a on szedł, jak nieżywy, bez oporu i woli.

Dobiło go moralnie i fizycznie to ostatnie nieszczęście.

Na drodze Grenis stał z wozem. Kazano Markowi siąść, siadł; ksiądz z ciotką towarzyszyli mu, Ragis został dla rozkazów nad rzeką.

Zajechali pod plebanią, posadzili go w cieplej izbie u komina, panna Aneta starła mu pot i wodę z twarzy. Dał robić ze sobą,

co chciano, ani się odezwał, tylko nie tknął jadła i napoju.

Gdy nalegano, potrzasał tylko głową i bezmyślnie, uparcie patrzył w ogień komina. Nie znaleźli słowa pociechy dla tej cichej, bezmiernej rozpaczy!

Usta staruszki poruszały się modlitwą, pleban chodził z kąta w kąt i palce wylamywał ze stawów, wzdychając.

Po godzinie Marek wstał i ruszył do drzwi. Zastąpili mu drogę.

— Gdzie idziesz? zostań! — wołali.

Popatrzył w oczy obojga z rozdzierającym żalem, do ich rąk się pochylił.

— Zlitujcie się nademną! Nie wytrzymam w miejscu! Do Boga się pomodlę, gdzie mnie nikt nie zobaczy! Pójdę, pójdę!

Proboszcz chciał zabraniać, ale panna Aneta pociągnęła go za rękaw.

— Niech idzie, dobrodzieju, niech idzie! Nie bójcie się, złego sobie nie uczyni, chrześcijańską, złotą ma zborję na duszy! Ale żal mu serce rozpiera; niech idzie, może mu Bóg lez użyczy! Może żałuje!

Marek wyszedł. Po chwili dopiero przypomniała sobie starowina, że go puściła bez kurty, w mokrej koszuli — wybiegła, ale już go nie dojrzała.

Wielkimi krokami szedł tąz drogą, którą w ów pamiętny dzień sądu przeprowadzał Irenkę. Margas nieodstępny szedł za nim o krok teraz i szła z nim rozpacz i niedola, a w zimnej fali leżała ta uroczą i dobra, co mu z taką wiarą i radością oddawała wtedy serce.

Gdyby upokorzył pychę i dumę, żyłaby teraz szczęśliwa i bezpieczna: onby ją ustrzegł przed rzeką, samby prędzej zginął; uśmiechałaby się do niego, złościła życie, dzwigała w każdej trosce.

Odszedł i Bóg go skarał, zgnębił, nędzę całą ukazał tego tryumfu i pychy!...

Kto go teraz dzwignie, uratuje, kto położy ręce na wyjącą, zrozpaczoną duszę i powie: Pokój tobie? Kto?

Dewajtis stał na polance i płakał po dniach lata. Odleciało odeń świergotliwe ptactwo i rodzina orla rozproszyła się po świecie, a chłody jesieni obrywały liść po liściu z jego szat i rozrzucały po ziemi daleko, jak szmaty złota i purpury.

Na mchy i zeschłe paprocie upadł Marek i zajęczał roz pierwszy od wczoraj, i dąb uciął w swej żalności i ~~zda~~ się spytał go z politowaniem:

— Kto cię skrzywdził, młody, kto?... Czy ludzie?... Bracia?... Nie płacz, nie tylko dla nich służysz i pracujesz! Żli przemianą, a ty zostaniesz olbrzymem!

Jęk nie ustawał głuchy, przejmujący. Jak robak, leżał ten olbrzym i cierpiał.

— Co cię boli, młody, co?... Czy ci ziemię zabrano i dom, i korzenie twe darmo szukają oparcia wyrwane? Co cię boli?...

Ale głosu nie było na wargach zgnębnego, i tylko jękiem odpowiadał:

— Nie wstanę już — nie wstanę! Boże miej zlitowanie!

A drzewo snadź pojęło ten jęk, bo poruszyło się aż do szczytu.

— Bóg ma prawo i moc nad tobą! Prawo, jak ojciec! moc, jak pan! Jeśli on cię dotknął, nie ożyjesz własną wolą! Proś łaski, jak ja go proszę o wiosnę i słońce, a nigdy mi nie odmówi!... A oto zamieram, a wierzę, że zmartwychwstanę!... Wierzę, wierzę!...

— Boże, Boże, miej zlitowanie! — powtarzały bezdźwięcznie usta człowieka.

I umilkło wszystko na chwilę. Dąb stał bez ruchu, posępny, a biedny bohater wił się na ziemi bez głosu, bez siły do skargi nawet.

Nagle w tej ciszy ponurej rozległo się dalekie szczekanie psa. Ozwało się parę razy i po chwili zziąjany, wpadł Margas na polanę, do nóg pana.

Marek głuchy był na odgłosy zewnętrz-

ne; pies go trącił, zaczął drapać łapą po ramieniu, lizać po rękach, nareszcie usiadł na ziemi przy głowie leżącego i skomlał i szczełkał bezustanku.

Poruszyło to nareszcie nieszczęśliwego, przypomniało życie. Długi czas minął, jak tu zaszedł; wieczór zapadł. Podniósł się mozolnie, skostniały był od zimna, febra nim trzęsa, głowa tylko pałała żarem.

Obejrza się, zbierając myśli. Nie pamiętał, gdzie się znajdował; po długiej chwili za ledwie wróciła mu przytomność, spojrzął na psa, jedynego wiernego we wszelkiej doli i niedoli towarzysza.

— Niema jej, Margas — szepnął — niczego niema! Tylko żyć trzeba, jak?

Pies wspiął mu się na piersi i piszczał, jakby rozumiał, potem odbiegł o parę kroków, obejrzał się i wołał szczekaniem.

Marek się zatrząsał. Czemu on go wzywa? gdzie chce prowadzić? Może znalazł gdzie w łozie to, czego daremnie szukali — zwłoki?...

Na tę myśl poskoczył naprzód, a pies rad, że go zrozumiano, ruszył żywo, oglądając się ciągle i skomlać niespokojnie.

Nie nad rzekę go wiódł jednak, ale w głąb dobrowy, między nieprzebytą gąszcz malin, ożyn, chmielcu, zawałoną napół spruchniałem drzewem, które tu kiedyś przed laty burza podruzgotowała.

Margas czasem gubił ślad, węszył i wracał, a Marek szedł, sadząc jak jeleni przez powały, nie dbając o kołące krzaki, co mu szarpały odzienie, kaleczyły ręce. Mrok utrudniał jeszcze bardziej tę drogę.

Margas był brzydki i złośliwy. Nie dał się nikomu dotknąć oprócz pana, bywał często bity i wypędzany i stale głód cierpiał, bo Marek czasu nie miał o nim pomyśleć; nawet Ragis przypisywał mu złe skłonności i oprócz moralów nie mu nigdy nie ofiarował. Zwierzę to chude, o burej, nastroszonej sierści, dziko patrzące, miało jednak dobrą pamięć.

Nie zapomniał drobnych rąk dziewczynki, która niezrażona jego odstraszącą miną, gładziła niekiedy jego kudły, pełne ostów i pyłu drożnego; pamiętał, że w Poświciu dawała mu chleb i mleko, a kiedyś karmiła pasztetem. Margas to wszystko zakarbował w swojej wiernej psiej głowie i ślady jej znał dobrze. To też choć błędził w gęstwinie, odnajdywał trop niewidzialny i doprowadził pana, gdzie chciał.

Stanął nagle i z tryumfem zaszczekał, zaglądając do otworu jakiegoś, zakrytego napół gałęzmi pnących się roślin, wybujałych, jak w dziewiczej puszczy.

Marek padł na ziemię, rękami darł kołące pędy, zdawało mu się, że tam w głębi coś się ozwało, jak słabe stękanie.

Była to zapadlina lochów zamkowych, czarna, głęboka. Mrok gęstniał z każdą chwilą. Wyobraźnia ludu zapełniła te tajemnicze przejścia widmami krzyżaków zabitych, a wiecznie chciwych żmujdzkiej krwi. Nie wiadomo było, jak wysokim był kurytarz: mógł mieć na dnie otchłań, zrobioną przed wiekami na pułapkę ścigającym! Stękanie podobne było do żalostnego krzyku czerwonych sów, zaludniających zwaliską.

Wszystko to z szybkością błyskawicy przemknęło w myśli Marka, gdy rozszerzał otwór; ale nie powstrzymało go ani na chwilę.

Miał na sobie pasek długi, rzemienny. Drżącymi rękami umocował go do zwałonego korzenia, rosnącego tuż nad tą czarną otchłanią, drugi koniec okręcił około ręki, przezegnął się i zniknął pod ziemią. Spadł na kupę gruzów, kamieni ślizkich i zgniłych liści; znalazł się w zupełnej ciemności, nad głową jego siwiało ledwie niebo i rysował się kontur głowy Margasa, w prawo i w lewo wąski, wysoki kurytarz. (Ciąg dalszy nastąpi.)